

Niemcy – Zugspitze

Cel – Zugspitze (2964 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – sierpień 2007

Tekst i zdjęcia– Dziku



Węgielstein & Hölleental III	
Angerhütte	1 754 m
Sonngraben	2 354 m
Höllentensch	3 754 m
Kornsch (Tafel)	4 754 m
Ostertaldeckel	5 754 m
Zugspitze	2 964 m
Ortswald	1 754 m
Elbsch	2 754 m

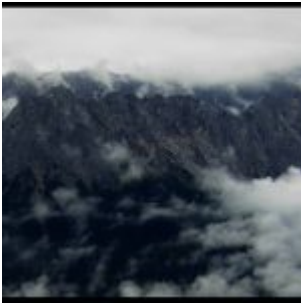
Tabliczka z czasami przy wejściu do Höllentalklamm.



Höllentalklamm



Salamandry



Grupa Wettersteingebirge. Zugspitze to ten w chmurach pierwszy z prawej.



Kłamry na początku ferraty.



Stalowe pręty na trasie.



Po wyjściu na piarżyska.



Dziku przed swoim pierwszym lodowcem. Serce mocniej biło na widok szczelin widocznych na lewo ode mnie.



Wejście z lodowca na ostatnią część ferraty czasem bywa zakorkowane (szczelina brzeżna).



Spojrzenie wstecz na lodowiec.



Ferrata ponad lodowcem.



Ponad lodowcem.



„Deep view”



Dobre miejsce na rodzinne pogaduszki.



Panoramka z lodowca.

Dziku'2016: Poniżej relacja z sierpnia 2007 roku. Zugspite był moim 7-mym szczytem Korony Europy, lecz pierwszym położonym w

Alpach. Wciąż w amatorskim stylu: bojówki, bawełniane podkoszulki i odciski na dłoniach. A odciski stąd, że pierwszy raz kijków używałem i pętli nadgarstkowych nie używałem, za to bardzo mocno ścisnąłem rączki. Jednak doświadczenia bezcenne, szczególnie jeśli chodzi o lodowiec, który widziałem po raz pierwszy w życiu. Serce mocniej mi biło przechodząc koło niegroźnych szczelin i widząc na nogach nowiutkie raki. Za to mój zestaw do asekruracji był lekko niedopracowany. Koniec liny przechodzącej przez płytkę z otworami chowałem do kieszeni, zamiast przywiązać do uprząży. Więc nie wiem, jak by się to zachowało w przypadku odpadnięcia ale prawdopodobnie zawisłbym jedynie na płytce, a to na pewno nie jest jej przeznaczenie.

Relacja bez zmian, jedynie w ramach transferu ze starej, niedziałającej strony przebrałem raz jeszcze zdjęcia i krótki filmik dorzuciłem.

Dzień 1 – Höllentalklamm – zwiady

Moją bazą wypadową przez te kilka dni było pole namiotowe w Garmisch-Partenkirchen Grainau. I tu w środę zostałem (na własne życzenie) pozostawiony przez przyjaciół jadących na te parę dni do Innsbrucka. Kamping położony jest na wysokości ok. 700 m n.p.m., tym samym aby wdrapać się na Zugspitze do pokonania było ponad 2200 metrów przewyższenia. No i przydałoby się jeszcze wrócić, a uparłem się żeby nie korzystać z kolejki i na dodatek nie schodzić tą samą drogą. Na najwyższy szczyt Niemiec udało mi się wejść dopiero ostatniego dnia wycieczki.

A pierwszego dnia pokonałem sobie tylko małą część drogi, docierając do wejścia do wąwozu Höllentalklamm (nie wiedziałem jeszcze, że będę tam chodził codziennie – w sumie 4 razy). Pozachwycałem się też widokiem szczytów pasma Wettersteingebirge z drogi na Kramerspitz – takiej niemieckiej Gubałówki, tylko wyższej.

Dzień 2 – Próba nr 1

Dzisiaj to mogłem już przyatakować szczyt i mieć z głowy, ale jakoś nie wyszło. Niby to zabłądziłem, niby to mgła straszna, niby to pogoda taka nie bardzo, no po prostu nie wyszło i już. I dobrze. Bo o 14 zaczęła się jakaś bawarska pora deszczowa, która zastała mnie nie wysoko w górach ale 50 metrów od Aldika (znajdującego się naprzeciwko pola namiotowego), gdzie zaopatrzyłem się w uzupełniacze płynów.

Obudziłem się po paru godzinach na prawdziwym wodnym łożku. Każdy ruch powodował falę wypływającą spod namiotu i uderzającą o najbliższy „brzeg”. Jakkolwiek hipernieprzemakalny Piesek Leszek prawdopodobnie przetrwałby noc nawet zatopiony w jeziorze i obciążony kamieniami, to falująca podłoga przyprawiała mnie o chorobę morską.

Po dłuższej mobilizacji, a dokładniej – po udaniu się do kibelka – postanowiłem zadziałać. Akcja była krótka lecz efektywna. Niezbędnymi do powodzenia operacji były następujące działania:

1. wyjście z plecakiem z namiotu
2. wyciągnięcie szpilek sztuk 12
3. przesunięcie namiotu o parę metrów w miejsce gdzie głębokość wody nie przekracza 5 cm
4. wbicie szpilek sztuk 12
5. wejście z plecakiem do namiotu
6. wypicie browarka

Dzień 3 – Próba nr 2

Do 6:30 pada. Potem lecę do góry. Niestety pogoda nie poprawia się ani troszkę. Po dotarciu do wejścia do Höllentalklamm pan w okienku odradza wyjście na Zugspitze w taką pogodę. Mówi, że „tomorrow better”. No dobra, zatem „see you tomorrow”, no bo co? Miejscowym mam nie ufać? W drodze powrotnej obłazą mnie salamandry. Jutro ostatni dzień i ostatnia szansa.

Po „spacerze” do schroniska pod szczytem Kramerspitz upewniam się, że podane czasy przejść na tabliczkach czy drogowskazach mogą dzielić przez 2.

Dzień 4 – Do trzech razy sztuka

O świcie wylatuję z namiotu. Po 7 godzinach marszu i łatwej wspinaczki (stalowe liny, kłamry i pręty były prawie przez całą długość trasy) stałem na szczycie. Widoczki ładne ale ten betonowy moloch na wierzchołku i tłumy ludzi, które wjeżdżają kolejkami – ech...

Przy schodzeniu zaczęły się przysłowiowe schody. Miałem serdecznie dość. Poza mną nikt nie schodził tą drogą do Garmisch. Widać inni wcześniej zauważyli że jest to trasa raczej na 2 dni. Tak więc grzałem samotnie w dół przez dolinę Reintal. Nachylenie na większości trasy bardzo małe, ale długość drogi jaka mnie czekała powodowała że byłem coraz bardziej spękany. Już miałem wizję jak biegam z czołówką nocą po Alpach. Po paru godzinach szybkiego marszu albo błyskawicznego zsuwania się po stromych piargach zacząłem bawić się w grę „wieviel stunden, czyli zapytaj Niemca jak daleko do Garmisch”. Mijając takiego Niemca zmierzającego w górę do któregoś z pobliskich schronisk zagadywałem o czas dojścia do miasta, po czym obserwowałem jak cmoka i kręci głową a następnie słyszałem bardzo niezadowalającą mnie odpowiedź. Gdy o godzinie 17 kolesie powiedzieli, że czeka mnie jeszcze 5 godzin marszu to już było niepokojące (o 20:30 zachód słońca). Ale gdy godzinę później usłyszałem od innego turysty że jeszcze 6 godzin, to ledwo się powstrzymałem żeby go nie dziabnąć kijkiem w lewe oko. Dodatkowo miałem świadomość, że czeka mnie jeszcze kilkukilometrowy marsz przez miasto do pola namiotowego na drugim końcu. Dzięki kijkom trekkingowym, które jakimś cudem się nie rozpięrdzieliły, zacząłem sadzić 7-milowe kroki.

Pod koniec trasy miałem wielkie szczęście spotkać bardzo miłą

parę Niemców, z którymi idąc jeszcze ok. 1,5 godziny dotarłem do skoczni narciarskiej, już w Garmisch-Partenkirchen. Tam mieli oni zaparkowany samochód, i mimo tego że było im to zupełnie nie po drodze zawieźli mnie przez całe miasto na pole namiotowe.

A na wejściu na kamping przywitał mnie „Quechua Team” – 4 osobowa przesympatyczna ekipa z Wrocławia, koło której przed paroma diami miałem szczęście się rozbić i ich poznać. Piwo i kolacyjka, którymi natychmiast mnie poczęstowali, były czymś wspaniałym, szczególnie po 15 godzinach marszu i wspinaczki. Tylko trochę dziwnie mogli na to popatrzeć Niemcy którzy mnie przywieźli. W końcu po drodze mówiłem im jak to jestem tu sam i jak to marzę tylko o herbacie gdy już dotrę do namiotu.

Podsumowując króciutko, to wyszedłem z „domu” o 6:15, wróciłem jakoś tak w godz. 21-22. Wg mapy wyszło mi, że przebyty dystans w poziomie to ok. 30 km (gdyby nie wyżej wspomniany autostop byłoby jeszcze co najmniej +5 km). No i to rekordowe jak dotychczas przewyższenie.. 2200 m w górę i 2200 w dół. Lepszym rozwiązaniem byłoby przenocować w którymś ze schronisk po drodze. Wtedy na drugi dzień podziwiałbym dolinę Reintal, a nie jej nienawidził.

Dzień 5 – Szaleńcy z Austrii

W niedzielę podjechali po mnie nieocenieni: organizator wycieczki Paweł, kierowca bolida Kasia, i pilot kierowcy Laura. Ich pobyt w Austrii był również w 100% udany.

Ok, na ten weekend wystarczy. Oby takowych jak najwięcej.

– END –